

Pierwsza posada. „Nowy Kurier”

Opuściwszy szkołę, porzuciłem i dom rodzinny. Nie chciałem być ciężarem dla rodziców. Żyłem, z czego się dało, przeważnie z niczego. Miałem 17 lat, lecz nie brak mi było doświadczenia.

Przez świat szła akurat największa fala światowego kryzysu. Panoszyło się bezrobocie, w ślad za nim narażała się nędza. Nie mogło być mowy o tym, by młokos prosto ze szkoły otrzymał jakieś zajęcie zarobkowe, bo o każde miejsce biło się wielu żywicieli rodzin. Na rogach ulic wystawały grupki bezrobotnych, niektórzy całymi dniami w parkach i skwerach grali w karty. W pogodne przedpołudnia — popołudniami było to bardziej normalne — publiczne ogrody roiły się od mężczyzn w różnym wieku.

Rozglądałem się za możliwościami publikowania w piśmiech poznańskich, nie tylko w „Nowym Kurierze”, gdzie zasmakowałem pierwszego pisarskiego zarobku. Od czasu do czasu udawało się coś wydrukować, lecz nie mogłem się z tego utrzymać.

Skomplikowane to było życie. Chodziłem przeważnie głodny. Mieszkałem w umeblowanych pokojach, których podaż była wtedy z powodu biedy ogromna — tak ogromna, że można było w samej gazecie na kolumnach ogłoszeniowych przebierać i wybierać między droższymi, komfortowymi, nawet takimi z łazienką i telefonem, a ubogimi, wyposażonymi w łóżko, stół, krzesło i umywalkę z dzbankiem wody, lecz za to tanimi. W dziennikach roiło się od drobnych ogłoszeń. Najtańsze pokoje kosztowały miesięcznie 15 złotych i oczywiście w takich mieszkalem.

Póki żyła matka — a zmarła na wiosnę roku 1937 — wracałem od czasu do czasu na jej prośbę do domowych pieleszy, gdzie pozostawałem tak długo, jak długo można było wytrzymać ze zrzędzącym ojcem. Chodziło mi jedynie o to, by swą obecnością podzielać uspokajająco na matkę rozpaczającą z powodu niepotrzebnego rozprosze-

nia dzieci, uciekających bynajmniej nie z powodu zakładania własnych rodzin. Tylko najstarsza Longina opuściła dom, wyszedłszy za mąż. Reszta zwyczajnie uciekała. Wróciła na koniec Janka, nie mając gdzie się podziąć z nieślubnym dzieckiem.

Później — po śmierci matki, gdy ojciec ciężko przeżywał swą samotność — wracałem ze względu na niego. Nigdy na zbyt długo, bo współżycie z nim było nie do zniesienia.

Mieszkałem więc u obcych ludzi za owe 15, czasem 20 złotych miesięcznie, to na Wierzbicicach, Górnej Wildzie czy Dębcu (ul. Wiśniowa), to na Długiej, Fabrycznej czy Głogowskiej. Żywiłem się bardzo postnie, często poprzestając na suchym chlebie z mlekiem, zbożową kawą lub herbata, które to napoje zwykle należały się sublokatorowi bez osobnej dopłaty. Obiadów często nie jadłem wcale. Bywało, że szedłem podjeść za 20 groszy zupeł z kotła w taniej kuchni dla żebraków i bezrobotnych, która to kuchnia istniała przy Placu Kolegiackim. Tanie obiady dwudaniowe podawano w restauracji mieszczącej się w piwnicach Nowego Ratusza, gdzie otrzymywało się mięsna siekaninę noszącą przeróżne nazwy: pieczeń rzymska, kotlet mielony, zrazik, klops i tym podobne.

Miewałem oczywiście okresy lepsze, zwłaszcza później, gdy wydeptałem sobie ścieżki do redakcji, gdy wydałem pierwsze książki, gdy zostałem członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Ale w tych lepszych okresach puszczałem pieniądze, jakby — co uświadamiam sobie dopiero dziś — dla uzyskania rekompensaty za głód i poniewierkę. Potrafiłem nieźle popić. Popychał mnie też do takiego życia całkowity brak perspektyw.

Tymczasem jednak miałem 17 lat — jak się rzekło — byłem po prostu bezrobotnym chłopcem, bez pracy i bez szkoły, bez domu i bez grosza, podejmującym się w dalszym ciągu dorywczych zajęć, doksztalającym się o głodzie i chłodzie, szukającym dojść do środowisk literackiego i dziennikarskiego, co przy mej wrodzonej nieśmiałości nie należało do rzeczy łatwych. Nigdy przedtem nie byłem zatrudniony, więc nie mogłem nawet formalnie liczyć się jako bezrobotny i korzystać z uprawnień bezrobotnego, choćby takich jak rejestracja i możliwość otrzymywania skierowań do dorywczych robót publicznych.

Wreszcie z pomocą mego szwagra Kasserna — męża najstarszej siostry, Longiny — dostałem się do redakcji „Nowego Kuriera” na niby to stałą posadę. W każdym razie nie donosiłem materiałów, lecz siedziałem w redakcyjnym pokoju przy wskazanym mi biurku.

Stałem się nagle kimś. Zawdzięczałem to nie tylko szwagrowi, lecz i dobrej pamięci, którą pozostawiłem po sobie jako młodociany felietonista z okresu seminaryjnego w tej redakcji, w której po staremu pracowali jeszcze i Kaźmierczak, i Kaniasty, i inni. Pomógł mi trochę i mój jakiś tam wstępny dorobek literacki: publikacje w pismach, występ w kabarecie literackim.

Redakcja „Nowego Kuriera” mieściła się przy Alejach Marcinkowskiego, w budynku dziś już nie istniejącym, a jego administracja przy Świętym Marcynie. Jakąż satysfakcję sprawiało mi chodzenie każdego dnia do pracy. Spotykanie się na stopie koleżeńskej ze starymi wygami dziennikarskimi.

Zaangażowany zostałem na warunkach wynagrodzenia wierszówkowego, a więc nie na formalny etat, tylko na współpracownika z biurkiem w redakcji — jak to sobie dziś określam, szukając najwierniejszego określenia swego statusu. Tym razem otrzymywałem już nie 4 lecz 6 groszy od wiersza, a po pewnym czasie podniesiono mi stawkę na 8 groszy. Mogłem w ten sposób zarobić około 100—120 złotych miesięcznie. Był to zarobek regularny i jak dla mnie bardzo duży, bom był przyzwyczajony do biedy i miałem nikłe potrzeby. Przecież gdyby się uprzeć, to w tamtych czasach samotny człowiek mógłby skromnie wyżyć już za 50 złotych.

Robiłem głównie reporterkę miejską. Majstrowałem informacje z miasta i trochę z województwa. Najbardziej kochałem sprawozdania z sądów, do których osobiście chodziłem na rozprawy, nie poszukując żadnych dodatkowych źródeł informacji. Tłumaczyłem wiadomości załapane wcześniej przez „Posener Tageblatt” i „Posener Neueste Nachrichten”, bo Niemcy mieli wtedy w Poznaniu więcej niż jeden dziennik. Siedziałem w dużym pokoju razem z kilku innymi redaktorami, którym przewodził sekretarz Kaniasty.

Wkrótce — ponieważ matury jeszcze wtedy nie miałem — za zgodą rektora Wyższej Szkoły Handlowej profesora Antoniego Peretiatkowicza, u którego za mną i za

Rysiem Jernasem wstawił się Jan Sztudynger — zostałem przyjęty jako słuchacz nadzwyczajny, lecz z pełnym prawem do otrzymania dyplomu, na studium dziennikarskie prowadzone przez tę uczelnię.

Moim bezpośrednim przełożonym w redakcji był Jarogniew Kaniasty. Człowiek pogodny i zyczący ludziom, lecz udający na siłę oschłego. Wesoły, jowialny, nawet frywolny, lecz czyniący miny arcyważne. Maskował w ten sposób — jak zresztą wielu ludzi — swą dobroć, w odróżnieniu od tych, co afiszują się dobrocią nie posiadaną. Już samą postawą fizyczną przejawiał dobroduszość: zaokrąglone kształty, głowa jak piłka, na dobitkę łysa, aż chciało się wrzucić ją do kosza. Prawdopodobnie i on sam by to uczynił, gdyby mógł, bo żartował często w sposób niebanalny. Oto na przykład przychodzi interesant. Tylko my dwaj siedzimy przy biurkach. Interesant mówi:

— Czy zastałem pana redaktora Kaniastego?

— Tak — odpowiada Kaniasty.

— Czy mógłbym z nim rozmawiać?

— Tak.

Interesant stoi i czeka. Trwa to długo. Kaniasty kontynuuje swoje zajęcia. Zniecierpliwiony człowiek pyta.

— Czy pan redaktor Kaniasty jest może zajęty?

— Jest, ale to nie przeszkadza.

— Czy wróci szybko?

— Nie. Jest na miejscu.

— Czy mogę wejść do niego?

— Nie potrzeba, bo już pan wszedł.

Zniecierpliwienie na twarzy obcego.

— Ale ja chciałbym z nim wreszcie porozmawiać.

— To niech pan rozmawia.

— Ale gdzie on jest?

— Siedzi przed panem.

Nagły refleks:

— To może pan?

— Tak, ja jestem Kaniasty — oświadcza po prostu sekretarz redakcji i podnosi się z krzesła.

Po wyjściu interesanta zapytałem swego szefa, dlaczego tak sobie kpił z niego.

— Widzi pan, ja znam tę gębę. To jest kierownik takiego tam przedsiębiorstwa. Wczoraj poszedłem do niego, miałem z nim do porozmawiania. Ale facet ma dygni-

tarskie maniery. Czekałem dwadzieścia minut, a sekretarka nie chciała mnie do niego dopuścić. Na koniec zostawiłem wizytówkę i poszedłem sobie. Więc on dziś też poczekał dokładnie dwadzieścia minut.

Trzeba było mieć jego flegmatyczny spokój, by tak postąpić. A jemu spokoju nie brakowało, zachowywał zimną krew w każdej sytuacji. Z pewnością z tą cechą miało związek jego lenistwo. Lecz było to takie lenistwo, które skłaniało go do pilnego wykonywania obowiązków, w tym celu, żeby mieć je czym prędzej poza sobą, żeby nie mieć przed sobą roboty. Gdy upchnął coś uciążliwego, zakładał nogę na nogę i patrzył w okno albo wszczywał rozmówki „o dupie Maryny”.

Sam mało co pisał. Pochylony nad swym biurkiem, grzebał piórem w cudzych tekstach, dokonując ich adiuścacji. Gdy miał jakiś materiał własny, to nie pisał go, tylko szedł do drukarni i dyktował prosto na linotyp.

Niekiedy taki sposób był konieczny ze względu na tempo. Było to wtedy tempo o wiele żywsze niż w dzisiejszych redakcjach. Oto na przykład przed południem odbywał się w Poznaniu jakiś sensacyjny proces, a po południu około szesnastej ukazywała się gazeta. Kaniasty więc — albo i inny ze starych dziennikarzy — opuszczał około czternastej salę sądową, mając na kolumnie zarezerwowaną płaszczyznę i szedł prosto do zecerni, by dyktować, bo na pisanie rzeczywiście w tej sytuacji nie starczyłoby czasu. Takim sposobem pismo przynosiło wiadomości dosłownie z ostatniej chwili.

Dzisiaj brzmi to trochę jak legenda, lecz wtedy gdy w mieście wychodziło kilka konkurencyjnych dzienników walczących o byt, musiały one prześcigać się w spiesznej i pełnej obsłudze czytelników. Przy opieszałości traciło się szansę utrzymania poziomu nakładu — a więc i dochodów — na możliwie najwyższym poziomie. Ale też trzeba było mieć wprawę i refleks oraz umiejętność pisanja doprowadzoną do perfekcji, by móc improwizować w drukarni. Tego wszystkiego ówczesnym dziennikarzom nie brakowało.

Praca w redakcji „Nowego Kuriera” stanowiła dla mnie świetną szkołę zawodu, może dlatego, że zespół był mały i trzeba było robić wszystko. Zaś sekretarz redakcji, Jarogniew Kaniasty, był świetnym szefem i nauczycielem, choć jego metody miały w sobie coś z bezwzględności

i nie raz go przeklinałem. Dodam, że wszystkie zespoły redakcyjne były wtedy mniejsze niż obecnie. Gdzie dziś siedzi 50 osób — tam siedziało 10. Miesięcznik, robiony obecnie przez 10-osobowy zespół, redagował wtedy jeden człowiek w czasie wolnym od innych, podstawowych zajęć, na przykład nauczycielskich. Będzie tu o tym jeszcze mowa przy konkretnych tytułach.

Jak przykra była szkoła Kaniastego, zapamiętałem na niektórych przykładach. Oto dał mi do ręki jedno z licznie napływających do redakcji zaproszeń na zebrania organizacji społecznych — na przykład na walne zebranie Towarzystwa Hodowców Kanarków w Górczynie, mające odbyć się w niedzielę po południu — i polecił mi najzupełniej poważnie:

— Niech pan tam idzie i zróbi z tego sprawozdanie.

Nie miałem wtedy jeszcze ani dostatecznego doświadczenia, ani tym bardziej tupetu dziennikarskiego, więc nie przeczuwając, czym to pachnie, szedłem w niedzielne popołudnie na daleki Górczyn, zrywając zaplanowaną wcześniej randkę. Siedziałem 3—4 godziny na zebraniu, nudząc się niemożebnie, i pisałem kilkunastowerszową relację, usiłując wyłuskać jakiś istotny problemik. Kaniasty brał pióro, kreślił, przekreślał i robił z tego 3, 4 wiersze informując jedynie o tym, że zebranie odbyło się i że wybrano taki to a taki zarząd. Gdy jednak następnym razem próbowałem sam podrzucić mu taki króciutki materialik, zwracał mi go z poleceniem: — Niech pan to opracuje trochę szerzej.

Byłem wściekły, lecz nie mogłem tego okazywać. Ostatecznie sam udział w życiu społecznym też dawał coś młodemu człowiekowi. Z drugiej strony jednak dopłacałem do takiej roboty, bo tramwaj w obie strony kosztował mnie więcej niż honorarium za notatkę.

Ale i ja sam przejawiałem jaką taką inicjatywę, a nawet wnosiłem ducha pewnego nowatorstwa do redakcji „Nowego Kuriera”. Celowałem w reportaże o pracy ludzkiej i wywiadach ze zwykłymi ludźmi pracy, co w owych czasach było robotą właściwie odkrywczą. Niektóre moje reportaże prowadziły czytelników do takich warsztatów pracy, o których przeciętny człowiek nie ma pojęcia. Pamiętam, że opisywałem życie na barkach przewożących towary Wartą i wędrujących także po Odrze, płynącej wówczas przez Niemcy. Napisałem na przykład

reportaż z za kulis Opery, z maszynistami, elektrykami i innymi robotnikami w rolach głównych. Przeprowadziłem wywiad z grabarzem. Zrelacjonowałem pracę szkoły dla głuchoniemych.

Cóż, kiedy moja redakcyjna kariera zakończyła się po kilkunastu miesiącach. „Nowy Kurier” był filią „Dziennika Bydgoskiego”, pewne kolumny typu magazynowego ukazywały się jednocześnie z gazetą macierzystą, odbite z matryc przysyłanych z Bydgoszczy. Własne materiały poznańskie ograniczano coraz bardziej, toteż moje zatrudnienie okazywało się zbędne. Czyniono oszczędności, a ja zjadałem pieniądze, które mogliby zarobić starsi. Musiałem więc jako najmłodszy odejść, by im nie odbierać chleba. Padłem więc ofiarą kryzysu. Jako luźny, wierszówkowy pracownik bez stałej pensji nie uzyskałem i teraz uprawnień bezrobotnego.

Wszystko to wynikało z faktu, że swą pierwszą pracę z prawdziwego zdarzenia uzyskałem w gazecie, której podstawy finansowe były słabsze niż jakiegokolwiek innej gazety poznańskiej. Spółka chadecka w Bydgoszczy pod kierownictwem Jana Teski szła powoli ku bankructwu. Wpływy chadecji w Wielkopolsce — jak dziś widzę — były słabe pomimo powiązań z Kościołem, bo konkurencja wszechmocnej endecji była zbyt wielka. Jak w tej sytuacji „Nowy Kurier” chylił się ku upadkowi finansowemu, to okazało się krótko po moim odejściu, gdy gazeta znalazła się w rękach prorządowego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Społecznego. Moje odejście miało związek z tymi zmianami. Inni, starsi redaktorzy poddali się w większości nowemu kierownictwu politycznemu. Reprezentował je zresztą nadal Jan Kaźmierczak, który dokonał politycznej woltę. Nie takiej znów wielkiej.

Jarogniewa Kaniastego spotykałem potem rzadko, zawsze odnosiłem się do niego z szacunkiem i sercem. Na czas wojny znikł mi z oczu, a i po wojnie nie zobaczyłem go więcej. Sądziłem, że jest to skutek mej nieobecności w Poznaniu. Dopiero nekrolog w miesięczniku „Prasa Polska” wyjaśnił mi wszystko. W Szczecinie, gdzie zmarł w 1964 roku, przepracował mój były szef jako doświadczony dziennikarz resztę swojego, zbyt krótkiego, bo 60-letniego życia.

Pozapominałem nazwiska wielu wykładowców Wyższego Kursu Dziennikarskiego w Poznaniu, którzy uczyli

mnie arkanów żurnalistycznej sztuki, a może bardziej politycznego myślenia, a pozostał w mej ciepłej pamięci on — jako prawdziwy nauczyciel — choć nigdy w swej prostoduszności nie pretendowałby do takiego miana.

A o owym kursie warto powiedzieć coś więcej. Był to rodzaj szkoły nauk politycznych przy Wyższej Szkole Handlowej, ze szczególnym uwzględnieniem prasy i dlatego korzystali z niej nie tylko dziennikarze i kandydaci do zawodu dziennikarskiego, lecz i tacy, którzy chcieli zdobyć orientację w aktualnych zagadnieniach politycznych i ekonomicznych. Zajęcia odbywały się wieczorami w nowym wówczas gmachu obecnej Wyższej Szkoły Ekonomicznej. Z uczestników kursu pamiętam na przykład jednego z magnackiego rodu Sapiehów, nie planującego bynajmniej żadnej redakcyjnej harówki. (Nie zapomnę, z jakim dreszczykiem owo wielkie jeszcze wtedy nazwisko wymawiałem w demokratycznym kontekście: — Panie Sapieha!)

Problemy polityczno-ekonomiczne zajmowały więcej niż połowę programu. Ich rozważanie na wykładach zaczęło budzić we mnie pierwszy świadomy bunt przeciw ówczesnej rzeczywistości — bunt już nie tylko instynktowny, jak do tej pory.

Najbardziej utrwaliły się w mej pamięci wykłady K. Kierskiego o mniejszościach narodowych i M. Jedlickiego o życiu politycznym Europy oraz tegoż seminarium publicystyczne, a wreszcie lektorat języka czeskiego, prowadzony przez prawdziwego Czecha nazwiskiem Hanus.

Na seminarium publicystycznym otrzymałem pewnego razu książkę Stanisława Srokowskiego *Prusy Wschodnie. Kraj i ludzie* z poleceniem napisania recenzji. Przyznam się, że z pewnym zaskoczeniem brałem do ręki to dzieło, bo o Prusach Wschodnich nie wiedziałem prawie nic, było to jeszcze przed powstaniem reportażu Melchiora Wańkowicza *Na tropach Smętka*. Lecz przeczytawszy książkę, zapoznawszy się zwłaszcza z losem Warmiaków i Mazurów — napisałem recenzję entuzjastyczną.

Czy nie owo dzieło Srokowskiego sprawiło, że zainteresowałem się bliżej ziemią za kordonem, a później, po zakończonej wojnie, pociągnęło mnie na Pojezierze? Oczywiście, wiele złożyło się na to, że znalazłem się na Warmii i że mieszkam na niej po dzień dzisiejszy, ale książka *Prusy Wschodnie* była kamykiem, który wywołał lawinę.

Kompozytorzy. Kassern, Szeligowski, Poradowski

Pora wreszcie opowiedzieć o moim szwagrze, którego na poprzednich kartkach kilka razy już wspomniałem.

Wszystko, co powiem poniżej, powinno być nieprawdą, gdyby brać dosłownie to, co piszą encyklopedie, a zwłaszcza *Mała Encyklopedia Powszechna*, której zapis brzmi: „Kassern Tadeusz Zygfryd (1904—1957), kompozytor polski, od 1931 za granicą” i tak dalej. Choć kto wie, czy większym kłamstwem nie jest uszczegółowienie, jak to czyni 13-tomowa *Wielka Encyklopedia Powszechna*, pisząc: „...od 1931 przebywał w Paryżu, od 1948 w Nowym Yorku”.

Nie chcę twierdzić, że nie był na przykład w Paryżu. Był w nim, zdobył tam nagrodę na konkursie kompozytorskim. Ale w roku 1931 — gdy on miał 27 lat, a ja 17 — przychodził na Łazarz do mej siostry jako jej narzeczony. A zaraz po nowym roku 1932 pobrali się i zamieszkali naprzeciw stadionu „Warty” przy Wałach Królowej Jadwigi, zwanych obecnie ulicą Marchlewskiego. Chodziłem tam do nich, lubiłem siadywać w wygodnie urządzonym mieszkaniu — nawet gdy zastawałem w nim samą gospozię Jagusię — i słuchać muzyki z płyt gramofonowych. A gdy był obecny szwagier — jego gry na fortepianie. To w tym domu poznałem osobiście Feliksa Nowowiejskiego, Tadeusza Szeligowskiego, Stefana Poradowskiego i innych muzyków, a także plastyków i dziennikarzy. Czasem szedłem na Wały Królowej Jadwigi po *passé-partout* Kasserna, pozwalające na bezpłatny wstęp do Teatru Wielkiego, bo ważne było na wszystkie dni, a on chodził tylko na premiery.

Trudno pogodzić się z tym, by encyklopedyczny zapis wyrugował z Poznania takiego jak on kompozytora i krytyka muzycznego, bez którego jakżeż sobie wyobrazić międzywojenne życie artystyczne tego miasta! Fakt faktem, że nie spotkałem w druku takiej relacji ze stolicy Wielkopolski tamtych czasów, która nie zawierałaby jego nazwiska.

Poznań był wtedy — to prawda — miastem gospodarki, miastem interesów, bogacącego się mieszczaństwa, Targów Poznańskich, pamiętnej długo Powszechnej Wystawy Krajowej, która zadziwiła świat polską, odrodzoną gospodarką, lecz zbiegła się jakąś przewrotnością losu

z początkiem fatalnego kryzysu światowego. Na wspaniałych terenach targowych — tam głównie, gdzie przedtem funkcjonowało Wesołe Miasteczko — zagnieździła się nędza. Z nobliwego miasta organicznej pracy rodziło się więc miasto kontrastów społecznych. Tu nędza Wesołego Miasteczka — tam Sołacz z willami w ogrodach, gdzie mieszkał twórca „Roty”. Pośrodku Wieża Górnośląska — kopulasty potwór jeszcze z lat zaborczych, patrolujący targom.

Ale był to i Poznań najlepszej opery w Polsce. Poznań rozbrzmiewający muzyką, tworzący literaturę i sztukę. To już nie była ta Wielkopolska, którą historyk kultury, Aleksander Brückner, nazwał „z punktu niepoetycką dzielnicą”. Konserwatorium muzyczne stanowiło siłę skupiającą takiej klasy nazwiska, jak Feliks Nowowiejski, Zdzisław Jahnke, Henryk Opieński, Lucjan Kamiński, Waław Gieburowski, Zygmunt Latoszewski, Tadeusz Szeligowski, Stanisław Wiechowicz, Stefan Poradowski i inni. W gronie plastyków chodzili tacy mistrze, jak Leon Wyczółkowski, Waław Taranczewski, Ludwik Puget, Jan Wroniecki, Władysław Roguski, Marcin Rożek, Henryk Nostitz-Jackowski. Tu żyli tacy pisarze jak Arkady Fiedler, Emil Zegadłowicz (aż do momentu, gdy wyfrunął jako „Emilencja”), Zenon Kosidowski, Artur Maria Swinarski, Jan Sztudynger, Witold Noskowski, Waleria Szalay-Groele, Szczepan Jeleński, Stanisław Wasylewski...

Nazwisko Kasserna liczyło się na równi z tymi wszystkimi nazwiskami. Znało się kompozytora nie tylko z sal koncertowych, ale i z prasy jako recenzenta muzycznego. Co prawda z tymi recenzjami było śmiesznie.

Najpoczytniejszymi gazetami poznańskimi były dwie endeckie: „Kurier Poznański” i „Orędownik” (który sztuką zajmował się mało i recenzji nie zamieszczał) oraz sanacyjny „Dziennik Poznański”. Natomiast najbardziej liczący się krytyk, jakim był Kassern, pisywał do „Nowego Kuriera”. Tak więc wszyscy muzycy i miłośnicy muzyki obok „Kuriera Poznańskiego”, w którym recenzje pisywał także ceniony Jerzy Młodziejowski, brali do ręki ten chadecki dziennik, który skądinąd mógł być im obojętny. No, ale Kasserna trzeba było przeczytać!

Czyżby był chadekiem??

Nic podobnego! Artysta nie musiał deklarować się politycznie, by zamieszczać swe prace w jakimś piśmie,

a byli tacy — choćby ja sam — którzy publikowali w prasie wszystkich stronnictw. Wyjaśnienie sprawy Kasserna jest pomimo to proste: był on Żydem z pochodzenia i jako taki nie mógł wejść na łamy faszystowskiej endecji, choć chętnie by na nie wszedł. Jako praktykującego katolika natomiast, który mając 16 lat ochrzcił się wbrew woli rodziców, przytuliła go prasa chrześcijańsko-demokratyczna.

Gdy „Nowy Kurier” później zbankrutował, kompozytor-krytyk przeniósł się z recenzjami do sanacyjnego „Dziennika Poznańskiego”, gdyż jako wysoki urzędnik państwowy — radca Prokuratury Generalnej — miał powiązania z obozem rządowym, a zresztą naczelny redaktor „Dziennika” Józef Winiewicz — późniejszy wieloletni wiceminister spraw zagranicznych w Polsce Ludowej i jeszcze późniejszy współpracownik tygodnika „Literatura” — był człowiekiem wysokiej kultury i światłej tolerancji. Dopowiedzmy jeszcze, że Kassern prócz muzyki ukończył prawo i każdego dnia chodził do pracy w Prokuratury Generalnej, mającej siedzibę przy ulicy Skarbowej (dzisiaj Chudoby).

Muzykę uprawiał zawsze obok tego zawodu. Co prawda zabrał się do niej, jak to nam w domu opowiadał — dosyć późno. Do szesnastego roku życia — a działo się to jeszcze we Lwowie — rodzice daremnie napędzali go do fortepianu. W siedemnastym, gdy już wszyscy zwątpili — zasiadł do niego sam, dobrowolnie i w szybkim tempie zdobył wykształcenie muzyczne.

Po dziesięciu latach widzimy go już w Poznaniu jako znanego kompozytora — laureata międzynarodowego konkursu, wybitnego znawcę muzyki i pianistę-wirtuoza.

Był oczywiście i Paryż, bo stamtąd pochodziła owa nagroda kompozytorska. Ale jego pobyt nad Sekwaną to sprawa jak najbardziej przelotna, choć tam właśnie odbyło się prawykonanie nagrodzonego *Koncertu na głos i orkiestrę*.

Gdy latem 1979 roku zmarła wielka śpiewaczka polska, Ewa Bandrowska-Turska, ukazało się w tygodniku „Polityka” jej wspomnienie pod tytułem *Wpatrzona we mnie wielkie oczy*, dostarczone redakcji jeszcze przed śmiercią, lecz wydrukowane już po pogrzebie. Jest w tym wspomnieniu fragment poświęcony Kassernowi, który zawsze

wyrażał się o Bandrowskiej z pietyzmem. Okazuje się, że sympatia była wzajemna. Słynna sopranistka pisze:

W teatrze Champs Elisées wystąpiłam z prawykonaniem *Koncertu na głos i orkiestrę* Tadeusza Kasserna. Jeden z młodych polskich kompozytorów, Kassern, przyszedł kiedyś do mnie i oświadczył: — Napisałem specjalnie dla pani koncert na głos z wielką orkiestrą symfoniczną i bardzo zależy mi na tym, aby go pani zaśpiewała.

Obejrawszy partyturę struchlałam, bo takie mi się to wydawało szalenie trudne. I rzeczywiście koncert ten uchodził za jeden z najtrudniejszych utworów symfonicznych na głos. Koncert jest skomplikowany harmonicznie, a partia wokalna jest piekielnie trudna i warto przy tym zwrócić uwagę, że jest ona bardzo samodzielna rytmicznie i szczególnie trudna intonacyjnie. Bardzo wysoka skala głosu pozwala wykonać utwór po wirtuozowsku i śledzić technikę głosu ludzkiego. Pozwala równocześnie rozwinąć dramatyczne momenty muzyczne stosownie do słów poematu *Orland Szalony* Micińskiego.

Koncert ten otworzył mi świat.

Choć byliśmy z Kassernem szwagrami — nie kochaliśmy się szczególnie i każdy z nas miał swoje ku temu przyczyny. Miał on rację, że uprzedził się do chłopaka, który w szkole był enfant terrible, i nie ukończył jej, póki siedział w rodzicielskim domu. Ja miałem swoją rację, bo wydawało mi się, że był człowiekiem dumnym, a także wyrachowanym i oschłym. Jednak tolerowaliśmy się nawzajem. On pomógł mi kilka razy w czasach chłopięcych i młodzieńczych, czego przykłady zdążyłem tu już podać. Ja pomogłem mu trochę kryć się, gdyśmy znaleźli się niespodziewanie obaj w okupowanym Krakowie zalanym przez hitlerowców. Był rok 1940, siostra z mężem i jego ojcem — rasowym Żydem, przed wojną prezesem Sądu Apelacyjnego w Poznaniu — mieszkała w jednej z cel klasztoru ojców zmartwychwstańców. Kiedyś tam przed kimś świadczyłem o aryjskości rodziny. Ze starym Kassernem, który u tychże zmartwychwstańców ochrzcił się, by mieć dowody swej katolickości, chodziłem na spacerunki i podnosiłem go na duchu, bo bardzo upadał.

W latach chłopackich potrafiłem jednak dać się we znaki i siostrze, i jej mężowi. Raz i drugi, będąc w jej do-

mu, bez niczyjej wiedzy zdejmowałem z półek bibliotecznych książki i zabierałem je z sobą. Gdy mnie kiedyś przycisnął głód — sprzedawałem kilka tych książek w antykwariacie Wilaka przy ulicy Podgórznej, obok Placu Świętokrzyskiego, obecnego Wiosny Ludów. Po paru dniach sprawa się wydała, więc unikałem domu Kassernów. Dowiedziałem się później, że Kassern wykupił książki z antykwariatu. Nigdy jednak — co mi się bardzo podobało i co ceniłem — nie wypomnił mi tego.

Choć cały powojenny okres Tadeusz Zygfryd Kassern spędził rzeczywiście za granicą i zmarł w Nowym Yorku, jego utwory wydaje się w Polsce do dnia dzisiejszego i wykonuje na publicznych koncertach. Wśród wydawnictw muzycznych z jego kompozycjami mam w domu *Słodki kramik*, zbiorek utworów fortepianowych dla dzieci, kilkakrotnie wznawiany przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w wersji międzynarodowej. Każdy z zawartych w tym tomiku drobiazgów nosi tytuł wzięty z nazwy jakiegoś smakołyku, na przykład *Miodowe cukierki*, *Chałwa*, *Kokosowe ciasteczka*...

Ten ślicznie ilustrowany zbiorek przypomina mi pewien fakt, świadczący o naszej współpracy artystycznej. Otóż w roku 1935 szło z Poznania na falę ogólnopolską nasze wspólne radiowe słuchowisko muzyczne pod tytułem *Jak Warta zrobiła się słodka*. Miałem wtedy 20 lat. Napisałem tekst z piosenkami, do których on dorobił muzykę. Uchodziło to za wcale dobrą rzecz, w każdym razie muzyka była na wysokim poziomie, a wydaje się, że i fabułę, i teksty piosenek doceniano także. Treść słuchowiska da się sprowadzić do tego, że Wartą i Odram wieziono do Niemiec cukier, któraś barka poszła na dno, Warta zrobiła się słodka i ryby miały wielką frajdę. Niestety, liczne akcenty antyniemieckie kazano mi wyciąć, bo był to okres sojuszu polsko-hitlerowskiego. Dziś po utworze tym pamięć zagięła, nie zachowało się też nic u mnie.

Pozostał mi za to w domu inny ślad współpracy z Kassernem. Otóż na przełomie lat 1934/35 redagowałem miesięcznik pod nazwą „Poranek”, którego wyszło tylko kilka numerów. Pismo zawierało wkładki muzyczne. W numerze pierwszym jest nią wspomniana tu już *Rozmowa Nieznanego Żołnierza z Ojczyzną* Janusza Nowaka do słów Jana Sztaudyngera, a na ostatniej stronie wkładki

zamieściłem krytykę utworu pióra Kasserna, bardzo po-
chlebną.

Utwory dla dzieci stanowiły oczywiście tylko drobny fragment jego twórczości, dosyć bogatej, choć mogła ona być jeszcze bogatsza. *Mała encyklopedia muzyki* wskazuje na rozległe zainteresowania kompozytora: muzykę gregoriańską, dawną polifonię, muzykę ludową, jazz. Pisał opery, koncerty, sonaty, utwory wokalne. Cała twórczość po ostatniej wojnie ginęła na ogromnym rynku światowym, nie mając oparcia o narodową bazę. Bo choć język muzyki jest międzynarodowy, musi mieć ona jak każda sztuka oparcie w narodzie, z którego wyrasta twórca. A Kassern stał się kosmopolitą i sędzę, że to pomniejszało jego format jako twórcy.

Póki do roku 1939 pracował w kraju, rósł na twórcę miary Szymanowskiego, z którym do dziś się Kasserna porównuje. Był przecież jeszcze bardzo młody i miał przed sobą ogromne perspektywy. Jego poznańscy przyjaciele zdobyli później większą od niego sławę, choć przed wojną chodzili w jego cieniu. Nie będę tu czynił porównań z Nowowiejskim, bo to i inne pokolenie, i całkiem inna osobowość twórcza. Ale na przykład Tadeusz Szeligowski w ciągu swych dwóch lat poznańskich czuł się zawsze mniejszy od Kasserna, z czym się nie krył, a po wojnie wybił się na jednego z najgłośniejszych kompozytorów polskich. To potwierdza moje przypuszczenie, że Kasserna zgubił rozbrat z ojczyzną.

Patrząc w album zdjęć rodzinnych, wpatruję się w okrągłą sympatyczną twarz człowieka, który przed dwudziestu laty przedwcześnie zgasł na obczyźnie. Przed czterdziestu kilku laty należał do kulturalnego krajobrazu Poznania, trudno sobie tamten Poznań bez niego wyobrazić. Kto go dziś pamięta poza gronem muzyków?

O ileż lepszy los wybrali dwaj jego poznańscy przyjaciele: wspomniany wyżej Tadeusz Szeligowski i drugi, którego też poznałem w jego domu — Stefan Poradowski.

Poradowski był człowiekiem bardzo skromnym, jakby usuwającym się z drogi, bezpretensjonalnym, prostym w obyciu. Przychodził do Kassernów z żoną — jak i on skromną — a i Kassernowie bywali u Poradowskich na Wildzie. I ja trafiłem raz i drugi do tego domu, pełnego kultury, nastrojającego poważnie, witającego gości z niezwykłą serdecznością. Gospodarz wyjmował zawsze z pu-

Tadeusz Zygfryd Kassern
i Stefan Poradowski



deł stopy zdjęć, których mnóstwo robił, sam parając się całą chemią fotograficzną. Nie mogę oczywiście powiedzieć wiele o pracy pedagogicznej Poradowskiego w konserwatorium muzycznym, podobnie jak o jego kompozycjach. Tworzył utwory na orkiestrę oraz drobiazgi kameralne, rzadziej wokalne, i zdarzało mi się słuchać ich w sali koncertowej albo prywatnie w wykonaniu fortepianowym. Pamiętam, że chwalił je Kassern, a do jego gustu muzycznego zawsze miałem zaufanie. Odszedł Poradowski cicho, z tą samą skromnością, z jaką chodził po świecie. Pozostawił po sobie dobrą pamięć u tych, którzy go znali, choć nad jego twórczością może zbyt głucho panuje cisza. A panuje ona też nad jego życiem i nad jego grobem. Cieszę się, że jedną z dalekich ulic podmiejskich Poznania nazwano jego imieniem.

Szeligowski przeszedł przez życie burzliwie. Był o kilka lat starszy zarówno od Kasserna jak od Poradowskiego. Przeleciał przez Poznań jak meteor — z hałasem, z właściwą sobie żywiołowością. Niski, krępy, niespokojny — zarażał towarzystwo swoim wigorem i niewyszukanym humorem. Na zdjęciu ślubnym mej siostry pokazuje palcami zajęczka nad czyjąś głową. Taki był.

Z Kassernem znał się chyba jeszcze ze Lwowa, więc po swym przybyciu w roku 1931 do Poznania obie rodziny od razu zawarły przyjazne stosunki towarzyskie. Widywałem pana Tadeusza, gdy wpadał do Kassernów — jeszcze na Wały Królowej Jadwigi, zanim przeprowadzili się na ulicę Słowackiego — i momentalnie stawał się ośrodkiem zainteresowania. To on narzucał temat dyskusji, to on musiał być w niej górą.

Po dwóch latach pobytu w Poznaniu wyfrunął do Wilna — tak samo, jak po dwóch poznańskich latach powojennych — do Warszawy. Tak jak sprzed wojny najlepiej pamiętam jego *Kaziuki*, których słuchałem jako czegoś egzotycznego dla ucha Poznaniaka, tak po wojnie wbił mi się w pamięć jego *Bunt żaków*.

Zastanawiam się czasem, ile Szeligowski zyskiwał swoją żywiołowością, swoją siłą przebicia, a ile Poradowski tracił przez swoją ogromną skromność. Czy sukcesy pierwszego wynikają w jakimś stopniu z jego charakteru, tak jak z charakteru drugiego wynika jego pozostawanie na uboczu muzyki polskiej? Czy w ogóle nie należałoby przeprowadzić jakiejś weryfikacji twórczości Poradowskiego — w sensie próby szerszego wydobycia jej na sale koncertowe?

Nie szukając jako niefachowy miłośnik muzyki odpowiedzi na te pytania, pragnę wrócić na chwilę jeszcze raz do postaci Kasserna. Chciałbym mianowicie wyjaśnić, jak to było z jego wyjazdami za granicę, i w tym miejscu rozszerzyć nieco informacje encyklopedyczne o nim.

Otóż w roku 1931 w Paryżu odebrał tylko nagrodę i bez żadnej zwłoki wrócił do Polski. Okres okupacji — jak wspomniałem — spędził w Krakowie, po krótkim okresie lwowskim. Po wojnie zaczął pracować w dyplomacji. Został przedstawicielem Polski w UNESCO, później konsulem w Stanach Zjednoczonych. W 1948 roku zdecydował się pozostać na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Korespondencję z siostrą nawiązałem dopiero po śmierci Kasserna, który zmarł w roku 1957, mając 53 lata. Wdowa przeżywała wtedy trudne chwile. Po jakimś czasie wyszła za mąż za innego emigranta — również kompozytora — Michała Kondrackiego, z którym i ja zaprzyjaźniłem się na odległość, nigdy go nie poznawszy osobiście.

Kassern figuruje w encyklopediach, wykonuje się od czasu do czasu jego kompozycje, Państwowe Wydawnictwo Muzyczne niektóre z nich wydaje drukiem.

Wielki, wspaniały, ludowy. Feliks Nowowiejski

Moje spotkania z Feliksem Nowowiejskim zaczęły się już we wczesnym dzieciństwie. Były to oczywiście spotkania z daleka, niekiedy pośrednie.

Pewnego dnia mój ojciec wrócił z pracy z miną zafasowaną. Zdarzało mu się to co prawda nie rzadko, lecz tym razem było to inne zafasowanie, jakby zabarwione jakimś miękkim uczuciem i skłonnością do zwierzeń. Powiesiwszy na drzwiach pokoju swoją konduktorską torbę, niespokojnie gładził siwiejącego nad czołem jeża. A gdy mama podała mu obiad, nie siadł od razu do stołu. Wyrzucił wpieryw z siebie to, co go nurtowało:

— Psiakrew, jak mogłem przyjąć!

— Co? — spytała struchlała mama.

— Nowowiejski doł mi trojoka na piwo, a jo głupi wzionem.

Działo się to wkrótce po nastaniu nowej waluty polskiej, miałem więc około dziesięciu lat. Przejazd tramwajem kosztował dwa trojaki czyli dwadzieścia groszy. Lecz Nowowiejski — wiedziałem już o tym — jeździł tramwajami bezpłatnie. Czasami w przystępie dobrego humoru dawał konduktorowi parę groszy na piwo — zawsze jednak mniej, niż wynosiła cena przejazdu, żeby nie narazić się na otrzymanie biletu. Mój ojciec twierdził, że nigdy nie przyjął od kompozytora ani grosza napiwku, tego ponoć dnia załamał się po raz pierwszy i ostatni. Nie dawało mu to spokoju przez kilkanaście dni. Lubił być na zewnątrz poza domem, „na wynos”, bardzo correct. Choć po prawdzie przyjęcie napiwku od długowłosego oryginała nie raniło honoru.

Próbowałem zastanawiać się, skąd ta ogromna popularność Nowowiejskiego w Poznaniu — nie tylko w środowisku artystycznym, lecz wśród całej ludności, po prostu na poznańskiej ulicy — w czasach gdy nie istniała jeszcze nie tylko telewizja, ale nawet radiofonia.

Wynikała chyba przede wszystkim z pewnej tradycyjnej specyfiki życia muzycznego Poznania. Był nią ruch

śpiewaczy, powstały jeszcze pod pruskim zaborem jako samoobrona przed germanizacją, podobnie jak Towarzystwo Czytelni Ludowych, Towarzystwo „Warta”, jak paramilitarne organizacje: „Sokół” i wyjątkowo bujnie rozwijające się Bractwo Kurkowe. W życiu muzycznym, a raczej w ogóle w życiu kulturalnym tego miasta polski amatorski ruch śpiewaczy dominował przez dziesiątki lat, a liczy się i dziś jeszcze. Chóry męskie, żeńskie i mieszane powstawały przy stowarzyszeniach polskich, przy zakładach przemysłowych, przy kościołach parafialnych. Tu przez długie lata jeszcze przed rokiem 1916, to znaczy przed założeniem chóru katedralnego, działał ksiądz dr Wacław Gieburowski, którego uczniem, spadkobiercą i kontynuatorem jest Stefan Stuligrosz. Dzisiejsze chóry: tegoż Stuligrosza, Kurczewskiego oraz wszelkie „Słowiki, „Harmonie”, „Lutnie” — to kontynuatorzy już ponad stuletniej tradycji poznańskiej.

W chórach poznańskich śpiewali robotnicy, rzemieślnicy, tramwajarze, inteligenci — starzy i młodzi — a Nowowiejski od pierwszego momentu po osiedleniu się w Poznaniu w 1919 roku bywał w tych chórach, wizytował je. Sam prowadził wielki mieszany Chór Narodowy i męski chór „Echo”. Przewodził w Związku Towarzystw Śpiewaczy. Widywali go chórzyści na śpiewaczych turniejach, zjazdach, masowych koncertach. Uwielbiali go, porywał ich talentem, rozmachem. Uwielbiała go i masowa publiczność. Był przecież twórcą *Roty*, która w byłym zaborze pruskim funkcjonowała jako hymn narodowy. Był artystą par excellence ludowym.

Prócz dyrygenckiego talentu i organistowskiej wirtuozerii nie miały wpływ na popularność kompozytora miała właśnie jego masowa twórczość. Napisał przecież kilkanaście różnych hymnów dla różnych dzielnic Polski. Dodajmy charakterystyczną, sympatyczną sylwetkę Nowowiejskiego, a zwłaszcza profil z orlim nosem i rozwianą czupryną.

Z chórami związał się w pewnym okresie mój brat, Stefan, a średnia siostra, Janka, śpiewała w nich bardzo długo. Przez wiele lat regularnie uczęszczała na próby chóru kościelnego na Łazarzu, którym kierował ceniony dziś muzyk Witalis Dorożała. Zabierała mnie — małego jeszcze chłopca — na imprezy, koncerty, majówki. Wcześniej więc miałem okazję ujrzeć wielkiego kompozytora.

To od niego rozpoczęły się moje kontakty ze światem prawdziwej sztuki.

Z widzenia znalazłem go nie tylko z chóru średniej siostry, bo i z koncertów, a także z ulic Poznania, którymi chadzał, odrzucając do tyłu swą rozwichrzoną czuprynę.

Uwielbiałem go jako organistę i nieraz po to, by go słyszeć i ujrzeć, chadzałem do auli Uniwersytetu Poznańskiego, służącej za salę koncertową, gdzie organy były znakomite, a wirtuoza widziało się przy ustawionym na podium pulpicie. Trudno powiedzieć, że Nowowiejski przy tym pulpicie siedział; on przy nim szalał. Ręce i nogi — od solennego piano rzucały się w prawdziwy wir coraz silniejszych akordów. Zdawało się, że w piszczałkach wre burza. Najbardziej lubiłem jego fortissima — zapewne dlatego że miałem kilkanaście lat.

Czasem podejrzewałem, że wirtuoz improwizuje, choć w programie figurował na przykład Bach, a przecież nie znałem tak dobrze literatury muzycznej. Dopiero kiedyś, gdyśmy razem z Kassernem siedli na koncercie z partyturą wykonywanego utworu Beethovena — mogliśmy sprawdzić całą precyzję wspaniałej żywiołowej gry.

Poznałem go właśnie w domu siostry. Był to zapewne rok 1934. Czekałem razem z nią na przybycie mistrza, uprzedziła mnie, że tak trzeba się do niego zwracać. Gdy zjawił się, witano go z niemal rytualnym szacunkiem, łaskawie zwrócił na mnie uwagę, podając mi rękę. Ubrany był poważnie, wizytowo, zresztą zawsze chodził w czerni, jakby każdej chwili gotów do koncertowania.

Cała moja uwaga skoncentrowała się na charakterystycznym profilu. W pierwszej chwili zraziła mnie jego nazbyt pewna siebie, aktywna aż do zaborczości postawa, którą brałem za przewrotną zarozumiałość. Ale gdy siadł do fortepianu — znów uwiódł mnie swą żywiołowością i temperamentem. Powiedziałem mu parę miłych słów, ale jakoś tak bezosobowo, by ani razu nie zwrócić się do niego per „mistrzu”.

Dopiero po kilku spotkaniach z nim przekonałem się, że w rażący mnie pierwotnie sposób przejawiała się w nim po prostu jego muzyczna pasja. On o muzyce nie mógł mówić spokojnie, nie potrafił jej spokojnie przeżywać. Dopiero mówiąc o rodzinie albo o Warmii, miękł i cichł. Ojczyznę kochał. I Warmia była jego miłością. Lecz muzyka — to był on sam, cały.



Feliks Nowowiejski

Drugi cykl moich spotkań z Feliksem Nowowiejskim miał miejsce w Krakowie podczas okupacji hitlerowskiej w roku 1940. Mieszkałem tam przez pół roku. Po raz pierwszy spotkałem go — pamiętam jak dziś — na ulicy Grodzkiej. Gdy go powitałem, stał obrócony do witryny sklepowej i choć widział moje odbicie w szybie — nie poznał mnie w pierwszej chwili. Dopiero po drugim moim powitaniu, gdy przypominałem mu spotkania w domu Kassernów — poznał, kim jestem. Lecz jeszcze i wtedy nie odwrócił się, tylko powiedział:

— Chwileczkę, niech przejdą, nie mogę już na nich patrzeć, w dodatku boję się, że mi zrobią co złego.

Ulicą szło od Wawelu kilku galowo umundurowanych hitlerowców. W Krakowie Niemców było pełno. Gdyśmy potem siedli w plantach na ławce — wyjaśnił, że lęka się rewizji i aresztowania, tym bardziej że rozpoczął pracę nad *Symphonią Pokoju*.

Przeszedł mnie dreszcz: być autorem *Roty*, pisać utwór patriotyczny i mieszkać pod bokiem Francka w samej stolicy Generalgouvernement — to było o wiele gorzej, niż być takim pociną jak ja. Sam wkrótce wyniosłem się z zaniemzonego miasta i wylądowałem w eksplodującej polskością, choć tragicznej Warszawie — też zresztą nie

na długo. On przeżył w Krakowie całą okupację. Hitlerowcy na Wawelu — to był obraz, który gniewał, lecz i zadziwiał swym okrucieństwem, pomnażał w człowieku siłę oporu.

Nim wyjechałem, spotkałem się z Nowowiejskim kilka razy na ulicy. Kraków jest mały, jeśli wziąć pod uwagę miejsca, którymi wszyscy chodzą.

Lecz do cyklu wojennych spotkań z nim zaliczyć mogę także owo wyraźne w mej pamięci zapisane, choć właściwie symboliczne tylko, które miało miejsce w Poznaniu w roku 1943. Pociągnięty tęsknotą za rodzinnym miastem — a mieszkałem wtedy już od dłuższego czasu w Białej Podlaskiej — przemyciłem się przez zieloną granicę z Generalgouvernement do Reichu, z narażeniem życia. Chodząc potem po Poznaniu, znalazłem się w Alei Wielkopolskiej i tam zatrzymałem się opodal willi, którą przed wojną zajmował kompozytor z rodziną... Ale resztę niech już powie mój wiersz napisany następnego dnia.

Schyl się tutaj pod murem. Sza... Pierś twoja rzezi...
Uchyl okna. Och, słuchaj, jak się stąd wylewa
fortepianowy akord przez winne gałęzie.
Maj gra szelestem świateł, a bez wonią śpiewa.

Pamiętasz? Dawno temu w pokoju tym byłeś,
Quo vadis z fortepianu rosło wzniosłym przesłem.
Nie przeklinaj, człowieku — spłoszysz dźwięki miłe.
Zachowaj życie w piersi, która wzbiera zemstą.

Może i tam w pokoju też budzi się człowiek...
— Słuchaj. Po winnej kępie splywa z okien domu
muzyka... nasza... — Wspomnij, zdejm ęmę z drżących powiek.

Beethoven idzie przez Sołacz

nie płacz...

odejdź po kryjomu...

Tak, to było przeżycie: wypędzony kompozytor i okupant w jego domu, grający na fortepianie.

Po wojnie Feliks Nowowiejski nie cieszył się już długo wytęsknioną wolnością. Zmarł krótko po powrocie do Poznania. Ja mieszkałem wtedy w podpoznańskiej wsi — w Dominowie. W dniu pogrzebu znalazłem się w moim rodzinnym mieście — jakżeż mogło być inaczej? A choć specjalnie przybyłem na tę okoliczność, z niemałym tru-

dem, bo jako wiejski nauczyciel nie miałem na to czasu, to ujrzawszy śpiewający *Rotę* tłum — umknąłem. Nigdy nie lubiłem i do dziś nie lubię tłumnych manifestacji publicznych. A zwłaszcza z Nim mogłem żegnać się tylko w ciszy. Przeżywałem więc sam w sobie śmierć kompozytora. I to był początek kolejnego cyklu spotkań z nim — spotkań niemal codziennych.

Odwiedziny na poznańskiej Skałce, gdzie spoczywają jego szczątki. *Legenda Bałtyku* w poznańskiej operze. Początkowe takty *Roty*, słuchane przez kilka lat każdego dnia jako sygnał wywoławczy poznańskiej rozgłośni radiowej. Dalej: po osiedleniu się w Olsztyńskim — widok rodzinnego domu kompozytora w Barczewie, otwarcie muzeum w tym domu. I wreszcie: przyjazne stosunki z synami Nowowiejskiego, z których jeden jest poetą i malarzem, drugi był (bo już nie żyje) muzykiem. Jeszcze: „O Warmio moja!” każdego dnia w olsztyńskim radio i w ratuszowym kurancie.

I to już wszystko.

Z saloniku do salonów

Anna i Aniela. Anny było 26 lipca, Anieli 2 sierpnia. Pamiętam dobrze te dwie daty, choć teraz Aniela nie figuruje w kalendarzach, po prostu dlatego że wtedy to było Matki Boskiej Anielskiej. Na Annę była zupa rakowa. Na Anielę był zawsze wiersz pisany przeze mnie specjalnie na tę okoliczność.

W domu tych dwóch siostr przy ulicy Półwiejskiej mieszkał przez pewien czas — trafiwszy tam przez jakieś dalekie powinowactwo, bo one z zasady nie wynająłyby nikomu pokoju — jeden z moich seminaryjnych przyjaciół, Konrad Lasek, który od wielu lat jest psychiatrą w Stanach Zjednoczonych. Pomagaliśmy sobie nawzajem w nauce, która jemu nie szła najlepiej, choć był stateczny i pracowity, a mnie trzeba było do niej napędzać. Ukończywszy seminarium nauczycielskie, Konrad dostał się wbrew wszystkim zasadom na studia. Pochodził z Bydgoszczy, gdzie go któregoś roku podczas wakacji odwiedziłem. Latem 1939 roku namawiał mnie na bezpłatną, lecz wymagającą określonej deklaracji ideowej wycieczkę do Ameryki. Nie miałem zamiaru sprze-

dawać swej duszy za pieniądze, zwłaszcza że dopiero co rozstałem się na dobre z katolickimi wydawnictwami, z którymi do tej pory współpracowałem. Zresztą odwiedzwszy poprzedniego roku Niemcy, zamierzałem z kolei udać się do Francji, bo pogłębiwszy znajomość języka niemieckiego, chciałem to samo zrobić z francuskim, angielski zaś znałem tylko po łebkach. Tak więc Konrad pojechał, ja nie. W Ameryce zastała go wojna i już tam został. Nawiązałem z nim luźny i krótki kontakt dopiero po wielu latach.

To właśnie Konrad wprowadził mnie do domu przy ulicy Półwiejskiej, gdzie na pierwszym piętrze mieszkały Anna i Aniela. Anna była starą panną, sensatką, kobietą egzaltowaną, lecz przy tym energiczną i zapobiegliwą. Aniela była ponuro romansowa, rozmarzona, naładowana czułością i podejrzaną liryką. Wyszła kiedyś za mąż. Miała syna zewnętrznie podobnego kropka w kropkę do ojca — niezwykle inteligentnego i ogromnie wrażliwego. Mąż niby to mieszkał przy Półwiejskiej, lecz praktycznie go nie było, nad czym zresztą nikt nie ubolewał. Ubolewania rozpoczynały się, gdy zjawiał się na dzień lub dwa, wynosił pieniądze lub coś do sprzedania — pierścionek, jakąkolwiek kosztowniejszą rzecz — i nie było go widać przez tydzień lub dwa, który to czas był dla niego bez troskim okresem włóczęgi. Lubilem go, lubiliśmy się zresztą wzajemnie, był bardzo sympatyczny.

Wprowadzony przez Konrada, zostałem przy ulicy Półwiejskiej przyjęty z entuzjazmem jako „młody utalentowany poeta, któremu trzeba pomóc”. Jak pomóc? Ano, poczęstunek przy nadarzającej się okazji, jakaś pożyczka, o której nie ma co mówić, bo „co się odwlecze, to nie uciecze”. Wspomniano o mnie komuś tam w tak zwanych sferach. Skutkiem tych wspomnień były potem moje kontakty z Wiesławą Cichowicz i radcą Ludwikiem Cichowiczem. Byli mecenasami sztuki, urządzali podwieczorki dla artystów, mieli ściany gęsto obwieszone dziełami sztuki. To przez Cichowiczów — to znaczy, pośrednio przez obie siostry — trafiłem do Leona Wyczółkowskiego.

Pomoc — to jednak były przede wszystkim sute obiady-kolacje, gęsto zakrapiane wiśniówką, podawane przez zasiedziałą służącą, Rozalię. Imię Różia znałem długo,

zanim poznałem nazwisko tej kobiety, co stało się wtedy, gdy w któreś ze świąt wielkanocnych wezwano do niej pogotowie ratunkowe. Nie, żeby Różia była chora. To znajomy lekarz — jeden z popularnych w Poznaniu braci Smolińskich — dyżurujący akurat w pogotowiu, został zawczasu umówiony, by razem z nami coś wypić i zjeść. Wezwano przeto karetkę, lekarz posiedział w jadalni, podczas gdy „chora” Różia przyjmowała w kuchni kierowcę.

Pomoc — to były poczęstunki, truskawki ze śmietaną, inne owoce, ciasteczka, kawka, kieliszek likieru. — Och, przyszedł Tureczek! Dziewczęta, skoczcie no tam po coś, trzeba go poczęstować!

Pomoc — to były wreszcie raz po raz jakieś upominki: poczynając od srebrnej papierośnicy, kończąc na koszuli i krawacie. No, ale przede wszystkim owe pożyczki, bezwrotne w samym swym założeniu.

Lecz istota mecenatu sprawowanego nad Tureczkiem była inna. Istota polegała na zadurzeniu się Anieli w nim. Dotyki, uściski na powitanie, całowanie czółka, rzadziej policzków, a w najodważniejszych (z jej strony) momentach — ust. Oczywiście, miało to być niby takie najzupełniej niewinne i funkcjonowało pod pozorami opieki na wpół matczynej, lecz trudno było ukryć fakt, że 50-letnia kobieta chciała uwieść „kochanego Tureczka”, o czym wiedzieli wszyscy świadkowie i obserwatorzy tej opieki, a który przed jej uwodzicielskimi poczynaniami bronił się energicznie, choć delikatnie.

Anna była w wielu sprawach jakby echem Anieli. Z jej strony stosunki ze mną miały rzeczywiście charakter mecenatu. Nie podejrzewała swej siostry o nic, ona jedyna; a może tylko usiłowała nie wierzyć, nie chciała przyjąć nic do wiadomości? Gdy w pewnym okresie zaczęto na ten temat już nie tylko szeptać, lecz głośno mówić, okazała szczere, wielkie oburzenie: — Ależ my tylko z życzliwości, z dobrego serca opiekujemy się Tureczkiem!

Mówiła „my”, nie rozróżniała między sobą a siostrą. Sądziła, że Aniela jest dokładnie taka sama jak ona. Bo też Aniela potrafiła omotać ludzi. Omotała i moją matkę. Gdy kochałem się w Zosi — a była to właściwie moja pierwsza wielka miłość — przedstawiła ją mojej matce jako diabła wcielonego, choć przedtem zawsze wyrażała

się o niej w superlatywach. Naturalnie, teraz działała pod wpływem zazdrości.

Gdy wreszcie miałem wszystkiego dość, wpadłem na pomysł genialny w swej prostocie. A właściwie domyśliłem się tylko celu, w jakim wprowadził mnie na ulicę Półwiejską Konrad Lasek. I poszedłem w jego ślady.

Zapewne Aniela poprzednio jego napastowała swymi czułościami. A on — spryciarz — gdy miał już tego powyżej uszu, podstawił na swoje miejsce mnie i usunął się na bok, a wreszcie znikł z horyzontu. Uświadomiłem to sobie dopiero teraz, gdy z kolei ja miałem wszystkiego powyżej uszu. Musiałem jednak znaleźć kogoś, kogo dałoby się wprowadzić na moje miejsce.

Józek, mój kolega seminaryjny, też opuścił szkołę przed jej ukończeniem. Był biedny, nie miał z czego żyć, pracy dla niego nie było, tak jak dla wielu, on zresztą nie miał nawet żadnego zawodu i żył z niewielu korepetycji. Mieszkał akurat razem ze mną, przyjąłem go nieodpłatnie do swego umeblowanego pokoju.

Wprowadziłem go na Półwiejską któregoś dnia przy sprzyjającej okazji pod jakimś pretekstem, o który zresztą nie było łatwo, bo Aniela nie chciała widzieć nikogo prócz mnie, nie lubiła świadków swej uwodzicielskiej gry. No, ale po pierwszym razie jakoś to poszło dalej. Zaczęliśmy teraz razem chodzić na suto zakrapiane kolacje. Potem zacząłem czasem urywać się trochę wcześniej, pozostawiając Józia na miejscu. Jeszcze później posyłałem go niekiedy samego. I obserwowałem, jak łaski Anieli stopniowo przemieszczały się na niego, a w ślad za tym — jak echo — łaski Anny. Aż wreszcie przydarzyło się Józkowi to, co mi się nie przydarzyło nigdy: nie wrócił do mego pokoju na noc, nocował na Półwiejskiej. Był to dla mnie sygnał, że pora wycofać się frontalnie. Jak Józio z biedaka stał się kawalerem dobrze przyodzianym, jak się dobrze odżywił i królował w nowym swym domu — nie będę już opisywał.

Muszę jednak szybko wyjaśnić, że moja znajomość z tymi kobietami nie miała w sobie nic ponurego czy tragicznego. Nie, toczyła się ona w pogodnej, serdecznej atmosferze, nacechowanej wzajemną życzliwością. Wszystko, co powiedziałem wyżej, nie wyklucza przecież owej pogody, która dominowała w każdym dniu. Aniela rada nierada godziła się ostatecznie z moją rezerwą, jaką od-

Autor wspomnień na War-
cie, 1935 r.



powiadałem na jej afekty, i poprzestawała — chcąc nie chcąc — na małym: na mej obecności, na uścisku dłoni, na pocałowaniu czołka i okazałym uściśnięciu, na przytuleniu w tańcu. Anna była w ogóle poza tym wszystkim i cieszyła się mną bezinteresownie, podobnie jak ja nią. Obie razem radośnie ćwierkały: — Turuś, Tureczek! — Zdrobnienie to wzięło się od „Turka”, przyniesionego przez Laska ze szkoły, bo tak zawsze nazywali mnie koledzy. Ja odwzajemniałem ich życzliwość i serdeczność. Jeżeli mogłem wybronić się przed tym, co mi nie odpowiadało, to dlaczego nie miałbym być życzliwy i serdeczny? Na co dzień zapominaliśmy — a Aniela co najmniej stwarzała pozory zapominania — o tym, co kryło się pod tą pogodą: o wznoszącej się lub opadającej w niej fali erotyzmu. Mieliliśmy przecież sobie tyle do powiedzenia: o poezji, o teatrze, o muzyce, o kwiatach, o życiu. Chodziliśmy razem na koncerty i przedstawienia.

Było więc dobrze i pogodnie, i tylko czasem ciężko. Dom tych dwóch samotnych kobiet, ze służącą trzech — bo przecież mąż Anieli w zasadzie się nie liczył — stawał się dzięki mnie, a potem dzięki Józkowi, domem jasnym,

tętniącym życiem i młodością, której nie mogło wnieść przedszkolne dziecko, śpiące już zawsze wieczorami, gdy zmęczone całodzienną pracą przedsiębiorczynie wracały ze swych sklepów spragnione odprężenia.

Rozpisałem się o saloniku Anny i Anieli, bo takich saloników było wtedy więcej i niejeden młody twórca do nich trafiał, a działy się w nich sprawy bardzo podobne. Bywały w takich salonikach wybitniejsze osobistości. Przede wszystkim jednak zawdzięczam Annie i Anieli wejście do jednego z prawdziwych salonów Poznania — do salonu radcy Ludwika Cichowicza.

Rodzina Cichowiczów należała do najbardziej znanych rodzin Poznania, na równi z Leitgebrami, Kałamajskimi. Łuczakami i innymi. Stary radca miał wielką kancelarię adwokacką i notarialną w samym sercu miasta, przy placu Wolności 18, gdzie też mieszkał z żoną i córką, zajmując na cele prywatne i kancelaryjne całe obszerne I piętro dostojnej kamienicy, należącej do Banku Przemysłowego.

Moja znajomość z tą rodziną zaczęła się od córki, Wiesławy, która przyjaźniła się z siostrami. To właśnie pani z Półwiejskiej zapoznały mnie z radcówną. A ponieważ przez Wiesławę Cichowicz poznałem później Leona Wyczółkowskiego, więc pisząc wiersze o nim i o jego obrazach, napisałem też wiersz pod tytułem *Portret radcy Cichowicza*, który razem z innymi został opublikowany w „Kurjerze Poznańskim”, a następnie znalazł się w moim debiutanckim tomiku *Krzyż na rozdrożu*.

Zarówno radca jak jego córka pielęnowali cichy, lecz gorliwy kult nie żyjącej już wtedy żony i matki — Heleny Cichowiczowej. Pozostała po niej najlepsza pamięć.

Za swego życia poświęciła się ona razem z córką tworzeniu wielkopolskich zbiorów etnograficznych i doszła do znakomitych wyników. Ta wielkiego serca dama prowadziła i w innych dziedzinach działalność społeczną, między innymi — jeszcze w czasach zaborczych — przez długie lata podtrzymywała materialnie i moralnie pamiętny chór „Lutnia”, mający ogromne zasługi dla rozwijania atmosfery patriotycznej w Wielkopolsce.

Zbiory ludoznawcze powstawały pod protektoratem Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dzięki któremu w roku 1910 założono Towarzystwo Ludoznawcze pod przewodnictwem Heleny Cichowiczowej. W ogromnej

pracy organizatorskiej i zbierackiej towarzyszyła matce pani Wiesława. Po zdobyciu przez Polskę niepodległości zbiory trafiły do Muzeum Wielkopolskiego jako odrębny dział pod nazwą Muzeum Ludoznawczego. Jemu to po zmarłej w roku 1929 matce patronowała córka.

Zasługi jej są nie mniejsze od zasług matki i w ich glorii chodziła ona już wtedy, gdy ją poznałem, to znaczy w roku 1934. Była wtedy w wieku balzakowskim.

Otrzymała staranne wykształcenie filologiczne i muzyczne w Polsce i za granicą. Z dużym zapałem działała w Towarzystwie Ludoznawczym. Opublikowała kilka prac z zakresu etnografii, wśród nich *Krótki zarys historii koronkarstwa* — rozprawę prekursorską.

Kontakty z domem Cichowiczów miały dla mnie nie-małe znaczenie. Po pierwsze — wzbudziły we mnie za-interesowanie sztuką ludową, z którą wcześniej nie miałem bliższych związków poza pieśniami które śpiewało się w domu i w szkole. Po drugie — gdy znalazłem się w salonie Cichowiczów przy placu Wolności, poznałem tam kilka wybitnych osobistości, a także w całkiem odmiennych okolicznościach mogłem rozmawiać na przykład z niektórymi redaktorami, przed którymi do tej pory stawałem jako petent. Wreszcie — Cichowiczówna wspomagała mnie czasem finansowo.

Może właśnie w takiej sprawie znalazłem się po raz pierwszy w mrocznym, gdyż zbyt gęsto meblami i wszelakimi sprzętami upchanym saloniku mieszczańskim? Zostałem zaproszony, więc służąca — uprzedzona o mojej wizycie — bez oporów wprowadziła mnie do wnętrza. A po chwili zjawiała się dostojna pani, poruszająca się niemal jak bóstwo, z twarzą jakby zasuszoną i pożółkłą. Rozmowa trwała krótko i przebiegała w tonie bardzo dworskim, a zakończyła się wręczeniem mi przygotowanej uprzednio koperty. Tę kopertę otworzyłem natychmiast po wyjściu na klatkę schodową i aż mi dech zaparło po ujrzaniu jej zawartości: 50-złotowego banknotu, czyli całego majątku.

Prawdę mówiąc, „pożyczki” te przeważnie w jakiś sposób odpracowywałem. Oto na przykład trzymam w ręce księgę dużego formatu, wydaną w Poznaniu w roku 1937, a zatytułowaną po prostu *XXV-lecie Zbiorów Ludoznawczych imienia Heleny i Wiesławy Cichowicz w Poznaniu*. Jest w tej księdze mój długi wiersz *Nie dać, by zginęło*,

napisany — jak to dobrze pamiętam — na wyraźne życzenie mej protektorki.

Musiąły te kontakty z możliwym domem zacieśnić się niezłe, jeżeli któregoś lata pani Wiesława zawiozła mnie swoim samochodem do Puszczykowa, bym obejrzał tamtejszą rezydencję Cichowiczów. Pamiętam tę willę w ogrodzie jako coś zachwycającego i właściwie z całkiem innego świata, dalekiego od mego biednego życia. Spędziliśmy tam kilka godzin, fotografowaliśmy się między innymi przy starej, zmurszałej łodzi, stanowiącej jedną z ozdób ogrodu, a nazywanej „Hellud” od początkowych liter imion radcostwa Cichowiczów. Ta nazwa jeszcze raz potwierdzała kult, jaki córka żywiła nie tylko dla zmarłej matki, lecz dla obojga swych rodziców.

Wojna przerwała moje kontakty z panią Wiesławą. Po wyzwoleniu zaś zamieszkałem poza Poznaniem. Dowiedziawszy się jednak że zasłużona działaczka pracuje w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, odwiedziłem ją pewnego dnia w gmachu przy zbiegu ulic Towarowej i Składowej. Prowadziła referat ludoznawczy. Bardzo ucieszyła się moją wizytą, moją pamięcią. Ja z radością i czcią całowałem dłoń, która niosła mi pomoc w trudnych chwilach, a teraz nie zawahała się przyjąć pracy w nowych, zmienionych warunkach ustrojowych i służyć nadal tej samej sprawie bez oglądania się na profity i zaszczyty. Stanowisko jej należało bowiem do podrzędniejszych.

Niestety, nie zdążyłem odwiedzić jej po raz drugi.

A jeśli chodzi o salony — poznałem jeszcze dwa inne. Bywałem w mieszkaniu Feliksa Nowowiejskiego przy Alei Wielkopolskiej. A choć nie był to salon typowy, bo prowadzony przez artystę — spotykało się w nim osobistości wybitne.

Do autentycznych mieszczańskich salonów tamtej epoki należał salon Marii Paruszewskiej. Znalazłem się w nim tylko jeden raz. To panna Cichowiczówna wprowadziła mnie do wielkiego mieszkania starszej poetki przy Alejach Marcinkowskiego, obie panie przyjaźniły się bowiem. Każda z nich wyobrażała sobie, że jest śpiewaczką, lecz choć obie miały muzyczne wykształcenie — nic to nie pomagało i cały Poznań kulturalny tego naśmiewał się z ich salonowych występów.

U Paruszewskiej regularnie bywała moja siostra z mę-

żem kompozytorem, bywali też Nowowiejscy, a także bardziej lub mniej znani literaci: Witold Noskowski, Czesław Kędziński (czyli Wujcio Czesio), Szczepan Jeleński (ten od *Lilavati*), Waleria Szalay-Groele i inni. Tu spotkać można było i aktorów, zwłaszcza Katarzynę Żbikowską i Władysława Hańczę. Stara Paruszyna — dumna z siebie, bo mająca się i za śpiewaczkę, i za poetkę — snuła się pośród gości z promiennym, łaskawym uśmiechem, a wyglądała dokładnie tak, jak ją opisał Kazimierz Nowowiejski w swej książce *Pod zielonym pegazem*: „ustrojona mnóstwem bijoux, wygląda niczym choinka gwiazdkowa, co błyszczy i dzwoni”.

Biorę do ręki dość spory tom wierszy Marii Paruszewskiej pod tytułem *Moje pieśni*, wydany w roku 1934, ozdobiony portretem pięknej kobiety, przedstawiającym autorkę w młodych latach — taką, jakiej nigdy nie oglądałem. Zawiera on przede wszystkim różne utwory okolicznościowe: patriotyczne, dedykacyjne, nastrojowe, religijne. Do kilku muzykę napisał Feliks Nowowiejski. Należy do nich pieśń *O Warmio moja*, która stała się hymnem. Przez długie lata tekst skomponowanej przez Nowowiejskiego pieśni przypisywano Marii Zientarze-Malewskiej, poetce Warmii. Tymczasem powstał on w Poznaniu, a Zientara przyznaje się jedynie do przeróbek. Bo faktycznie, słowa są dziś nieco inne niż w tomiku Paruszewskiej. Ale takie zmiany dotyczą tekstów wszystkich hymnów, nie wyłączając *Mazurka Dąbrowskiego*.

A jeżeli już sięgam po książki z tamtych czasów, to powiem słów parę o jeszcze jednej i o jej autorze, poznanym za pośrednictwem Wiesławy Cichowicz. Różne osoby poznawałem w salonie przy Placu Wolności, z niektórymi jednak pani Wiesława kontaktowała mnie w trybie roboczym, poza oficjalnymi przyjęciami. W taki właśnie sposób zetknąłem się z człowiekiem, z którym zaprzyjaźniłem się później na długie lata. Jest nim autor przepięknej książki pod tytułem *Biskupianie* — Jan Bzdęga z Domachowa, o którym i o którego rodzinie nieraz wspomina w swych opowieściach historycznych Stanisław Hel-sztyński. Napisano o nim i niejeden reportaż.

Biskupizna pozostała do dziś najatrakcyjniejszym z punktu widzenia folkloru regionem Wielkopolski, należą do niej okolice Gostynia i Krobi, lecz obyczaj i strój

trwają najżywiej w Domachowie, co zresztą jest w największej mierze zasługą Jana Bzdęgi.

Praca monograficzna znakomitego Biskupianina uka-zała się drukiem w roku 1936 w Drukarni Spółkowej w Kościanie. Wiesława Cichowicz napisała do niej słowo wstępne. Z pewnością dlatego poprosiła mnie o kontakt z autorem i o napisanie recenzji. Opublikowałem ich kilka w różnych czasopismach, między innymi w „Kurierze Poznańskim”, „Wiciach Wielkopolskich”, „Naszej Nieszczęśliwej”.

Książka została wydana starannie. Ilustrował ją świetny artysta, Wacław Boratyński, członek bractwa artystycznego, które przyjęło nazwę Szczepu Szukalszczyków od swego założyciela. Rzec zawiera opis obrzędów i zwyczajów biskupiańskich oraz tekstowe i muzyczne zapisy miejscowych pieśni. Stanowi więc źródło do badań folklorystycznych i cenią ją uczeni etnografowie. Jest bardzo dobrze napisana.

Bzdęga, gdy go poznałem, mieszkał w Poznaniu i był pocztowcem w ambulansach kolejowych, więc spotykałem go rzadko, a potem wojna przerwała nasze kontakty na wiele lat. Ale nie trudno było go odnaleźć, był głównym działaczem społecznym w środowiskach wiejskich. Odnalazłem go więc w latach pięćdziesiątych pod Zieloną Górą. Później ze względów rodzinnych musiał przenieść się do Gdyni. Wszędzie dawał z siebie wszystkie siły jako działacz kulturowy. Ale gdziekolwiek przebywa, gdziekolwiek pracuje — na rodzinnej Biskupiźnie nic nie dzieje się bez niego. Pozostał nadal spiritus movens wszelkich poczynań w tym regionie. Płonie w nim szczerą, gorącą pasją społecznikowska.

Pytam go czasem: — Ile dostałeś za ten koncert?

Denerwuje się, ale nie gniewa. Odpowiada: — Tak dużo kosztują mnie podróże, a jeszcze czasem trzeba komuś za to i owo zapłacić. Już nie wiem, jak długo będę mógł dokładać ze swych lichych zarobków.

Teraz już dopłaca z bardzo skromnej emerytury. Nie ma wiele odznaczeń, bo szuka roboty, a nie sławy. Ale dostał medal i nagrodę Kolberga i jest z tego ogromnie dumny.

Ten co bawił się sztuką. Leon Wyczółkowski

Z władczych wyżyn swej ziemi
myśli królewskiej przelotem
patrzysz, jak w prądzie Wisły
kąpią się nasze tęsknoty.

Oto, co widziałem w nim przede wszystkim, gdym miał 19 lat: władcze spojrzenie, królewską myśl, a i Wisła też przecież jest królową. Ze wszystkich autoportretów Leona Wyczółkowskiego ten znad Wisły najbardziej mnie zauroczył. Artysta stoi na tle wijącej się przez pola rzeki. Wysokie czoło, z głęboko nachodzącymi zatokami łysiny. Charakterystyczne dla jego twarzy kości policzkowe, wystające na boki. Szpicbródka pod wąsem. Oczy patrzące zarazem w dal i w głębie.

— Ja ciebie lubię, Wyczół, za to, że ty się, szelmo, tak sztuką bawisz — mawiał Stanisław Witkiewicz ojciec — także malarz, lecz i krytyk. I to stanowiło drugą prawdę o duszy twórcy, którego w tej chwili wspominam. Był wielki, lecz zarazem tkwiło w nim coś z dziecka, bawiącego się nie tylko sztuką, lecz całym światem i życiem. Może właśnie z tej drugiej przyczyny znaleźliśmy wspólny język: on — liczący ponad 80 lat artysta z ogromnym dorobkiem, i ja — dziewiętnastoletni żółtodziób, przygotowujący swój debiutancki tomik poetycki.

Dużo wcześniej zetknąłem się z twórczością wielkiego malarza. Miałem chyba 15 albo 16 lat, gdy zacząłem częściej chodzić do Muzeum Wielkopolskiego. Zachwycało mnie wiele obrazów polskich z przełomu XIX i XX wieku: i Siemiradzki, i Kossak, i Fałat, nie mówiąc już o starym Matejce. Ale ze szczególnym zdumieniem stawiałem przed kartonami Leona Wyczółkowskiego wyobrażającymi fragmenty Wawelu, a budzącymi we mnie tęsknotę za nie znanym mi jeszcze prapolskim grodem.

Wreszcie jakiś przypadek zaprowadził mnie na wystawę malarstwa, na której Wyczółkowski został szerzej zaprezentowany, i na niej dowiedziałem się, że artysta mieszka „czy to w Poznaniu czy w Wielkopolsce”. Dopiero tu zetknąłem się z jego pejzażem. Olbrzymia przestrzeń, zamknięta w prostokącie płótna. I zaskoczenie: szerokie pola polskiego wschodu i na horyzoncie moje miasto. Kontrast chwytający za serce i zarazem dławiący gardło.

I w tej chwili, pamiętam to jak dziś, ktoś mówi na sali: — Idzie Wyczół. — I widzę go, tę wysoką, barczystą postać i twarz ze szpicbródką zapamiętane z autoportretów. Odskokczyłem na bok, bo mi się zdawało, że będę zaważał.

Mnie już niewiele zostało do zobaczenia na wystawie, więc wkrótce wyszedłem na ulicę. Niosłem w sobie dwa obrazy: kontrast szerokich pól i wąskiej ulicy miasta oraz niewiarygodne zestawienie wspaniałego obrazu z żywym człowiekiem, nie innym w gruncie rzeczy niż wszyscy ludzie na świecie, choć artystą wielkiej miary.

Nie pamiętam, kogo potem wypytywałem o obecność Wyczółkowskiego „w Poznaniu czy też w Wielkopolsce”. Dowiedziałem się wtedy, jak to do mojego rodzinnego miasta sprowadziła wspaniałego mistrza tęsknota za własnym kawałkiem ziemi. Nie znam szczegółów, lecz doszło do transakcji, mocą której twórca darował Muzeum Wielkopolskiemu swą bogatą kolekcję dzieł malarstwa i sztuki zdobniczej, w zamian za co władza wielkopolska ofiarowała mu resztówkę Gościeradz, położoną na północ od Bydgoszczy, opodal Borów Tucholskich. Działo się to w roku 1922; ziemia bydgoska aż po Koronowo na północy leżała wtedy w granicach województwa poznańskiego. Artysta był ponoć ogromnie szczęśliwy. Już o wiele później przeczytałem jego słowa: „W Gościeradzu ogród, sad i warzywnik. Ogród: oglądać kwiecie drzew, kwiaty, zielen trawy, wchłaniać w siebie woń goździków i mięty, i słodko pachnącego ziela. Dookoła dźwięczała muzyka ogrodu... Stary dwór, żywopłoty, stare wielkie drzewa, chmurki na niebie, trawniki zielone, grządki ziół bogate w kolory i zapachy...”

To wszystko pchało się na obrazy Wyczółkowskiego, które oglądałem i podziwiałem na wystawach i w zbiorach — zwłaszcza kwitnące jabłonie i grusze oraz precudne anemony, takie jakich poza Gościeradem nie ma chyba nigdzie na świecie.

Gdy już poznałem Wiesławę Cichowicz, słyszałem od niej, jak to ze swej wiejskiej siedziby wypuszczał się twórca z całym malarskim majdanem do Borów Tucholskich. Jej zdarzało się w Gościeradzu patrzeć na te wyprawy. Wyczółkowski lubił malować najbardziej w rezerwacie leśnym Wierzchlas, a cisy, tam przeniesione na płótno, robiły wrażenie czegoś pierwotnie potężnego.

Do Wierzchlasu trafiłem dopiero kilkanaście lat po wojnie, a ujrawszy tamtejsze ostępy leśne, pojąłem jeszcze jedną cechę duszy mistrza: poszukiwanie wieczności. Rozłożyste, sękaty konary cisów sprawiają wrażenie, jakby trafiło się do miejsca, gdzie przed wiekami zatrzymał się czas. Oglądając je przedtem na obrazach, sądziłem, że to malarz przetworzył las na miarę swej starości. Teraz wiedziałem, że to i puszcza zmieniała jego — bardziej ona jego niż on ją.

Ale jak to było ze mną — młodym debiutantem?

Wielki malarz dopiero w roku 1929 wyniósł się na dobre z Krakowa i zamieszkał w Poznaniu. Odtąd jego życie toczy się między tym miastem a Gościeradzem. Są pierwsze lata trzydzieste. On maluje moje rodzinne miasto, o którym ja zaczynam pisać wiersze. Wyjmuję oto z teki jego dzieł akwarele przedstawiające Ratusz poznański i sąsiadujący z nim Pałac Działyńskich. Podziwiałem te obrazy wtedy — krótko po ich powstaniu. Gdy on te rzeczy malował, spod mojego pióra spływały strofy o tych samych miejscach:

Narzędzie dawnych tortur —
gruby bez ramion krzyż —
może tu jakiś twój pradziad
mojemu napluł w pysk...

Moja buńczuczność i jego stateczna powaga wyrastały z tego samego klimatu, który jednak w każdym z nas inaczej się załamywał. Odczuwaliśmy te same miejsca każdy po swojemu: on jako starzec, ja jako młodzik.

Coraz częściej oglądałem w muzeum wspaniałe obrazy, które mnie poruszały, czasem mną wstrząsały. Chodziłem na każdą jego wystawę. Aż któregoś dnia napisałem zacytowany na początku tego rozdziału we fragmencie wiersz *Autoportret nad Wisłą*. Gdy następnie ujrzałem portret-bojownika-anachorety spod Zakopanego — Adama Chmielowskiego czyli Brata Alberta — powstał kolejny wiersz, a w nim takie słowa:

Wśród biednych z chlebem w rękę,
w boju okuty blachą —
w jasnowidzeniu malowany
święty kolega po fachu.

Przyszły potem wiersze o gościeradzkich drzewach, o anemonach, o obrazach wawelskich, nie napisałem jednak nic à propos widoków poznańskich, bo miałem własną wizję swego miasta rodzinnego. Fakt faktem, że ten jedyny tylko raz moja poezja wyrastała z cudzej twórczości, a nie po mojemu po prostu z życia. Mógł to sprawić jedynie on — zarazem wielki i prosty, stary a dziecięcy.

Gdy cały cykl „Wyczółkowski” ukazał się pewnej soboty w „Kurierze Poznańskim”, zostałem zaproszony do salonu radcy Cichowicza w dniu, gdy gościem miał być również wielki malarz.

Choć w domu przy placu Wolności 18 bywałem już wcześniej, to na fajf trafiłem po raz pierwszy.

Wielopokojowe mieszkanie Cichowiczów stanowiło ogromną galerię sztuki i rychło zdążyłem przekonać się, że wśród obrazów królowały „Wyczółki”. Teraz, mając znaleźć się w tym salonie, w którym bywali przede wszystkim malarze i aktorzy, rzadziej literaci, muzycy, dziennikarze — wiedziałem, że spotkam tam tego, któremu poświęciłem wiersze. Zostałem zaproszony właśnie dlatego.

Poczęstunek na fajfach u radcy był skromny: herbata z pączkami, barszczyk w filiżankach z paluszkami. Ani kropli alkoholu. Nie po to się tam szło.

Gdy goście siedzieli już pod opieką pani Wiesławy na rozrzuconych swobodnie fotelikach i krzesłach — otworzyły się drzwi i radca wprowadził Leona Wyczółkowskiego jako głównego gościa, który przedtem bawił w jego gabinecie. Wyczółkiewicz siedł wypreżony, potężny, zdrowy jeszcze i krzepki, i witał towarzystwo swym dziecięcym uśmiechem. Patrzyłem na niego z podziwem i prawie nie odrywałem wzroku od uroczego olbrzyma.

Gdy potem towarzystwo dyskutowało już na dobre w grupkach, zostałem w pewnym momencie podprowadzony przez panią domu do mistrza i przedstawiony tymi słowy:

— Oto jest, mistrzu, ten młodziutki poeta, autor owego cyklu wierszy. Leonard Turkowski.

Parę uprzejmych, zdawkowych zdań, moment odruchu szczerzej jakby sympatii, podziękowanie, uznanie, przyrzeczenie zaproszenia do Gościeradza — i to było wszystko. Choć przecież dla mnie bardzo dużo. Ale z tego rodzaju spotkań nie wynosi się szczególnie silnych wrażeń.

Leon Wyczółkowski.
Autoportret



Jednak dwa tygodnie później otrzymałem sygnał, że tego a tego dnia o godzinie piętnastej mistrz oczekuje mnie w swym poznańskim mieszkaniu.

Mieszkał niedaleko mego domu rodzicielskiego, przy tej samej ulicy Głogowskiej, mniej więcej naprzeciwko lazarskiego kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej, za gimnazjum Mickiewicza, w nowym wówczas bloku magistrackim na trzecim piętrze. Mieszkanie nieduże, ot, zwykły czynszowy lokal, skromny jak na tej miary artystę. Był to jednak tylko dodatek do gościeradzkiej sadyby. Powitała mnie pani Wyczółkowska, ujrzałem ją wtedy po raz pierwszy. Młodsza od męża, prosta kobieta. Już wcześniej wiedziałem, że Wyczółkowski ożenił się ze swoją gospodynią, gdyż potrzebował opiekuńczej ręki, a ta kobieta była dlań czuła i świetnie gotowała, czyli trafiała do serca także przez żołądek. No cóż, należał do pokolenia *Wesela*, wśród którego małżeństwa z wieśniaczkami należały do fasonu.

W małym saloniku odczekałem z panią Franciszką, aż gospodarz wstanie po drzemce poobiedniej.

Dopiero to spotkanie stało się dla mnie przeżyciem co się zowie. Znow ta sama masywna postać krzepkiego starca. Ta sama co na portretach i autoportretach. Ta sama kanciasta twarz. Wszystko to w naturze, w największym zbliżeniu — oko w oko i na dobytek sam na sam, a nie w salonowym gwarze jak przedtem.

Siedliśmy do placka z owocami — specjalności kulinar-

nej pani domu. Rozmawialiśmy o sztuce. Ale jak rozmawialiśmy!

Nie odtworzę dziś tego dialogu, musiałbym dośpiewywać od siebie, by stworzyć pozory autentycznej rozmowy, a tego czynić nie chcę. On mówił o sztuce nie jak esteta — gładkimi, uczonymi frazesami, lecz jak prosty człowiek, tak jak z nim rozmawiała poślubiona przez niego prosta kobieta. Ale to było olśniewające w zestawieniu ze świadomością, że rozmawia się z kimś wielkim. Nie silił się na naukowy ton, na wyszukane określenia, lecz powtarzał zwyczajnie: piękno, prostota, wielkość, uroda, wzruszenie. A ja — sam też nie pozując na estetę, czując jednak sztukę bardzo głęboko, spontanicznie — przepadałem właśnie za takimi szczerymi, wolnymi od snobizmu rozmowami o sztuce. Nic dziwnego, że zamiast kwadransa — do czego zostałem święcie zobowiązany przez panią Wiesławę — przesiedziałem półtorej godziny, nie z mojej jednak, lecz z gospodarza winy. I wydaje mi się, żeśmy obaj mieli z toczącej się pogawędki wielką radość.

Zaproszenie do Gościeradza zostało ponowione w toku tej wizyty, umówiliśmy się na jesień. A mieliśmy lato 1934 roku. Jesienią zaś stary artysta poszedł z Poznania do Warszawy, gdzie został jeszcze raz powołany na profesora. Tym razem na profesora tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych.

Gościeradz jednak odwiedziłem, choć jego tam nie było. Stylowy dworek w ogrodzie. Jabłonie — te, które malował. Jedliśmy z nich owoce i było w tym coś jakby sakramentalnego, jakby spożywanie świętego ciała sztuki.

Nie zobaczyłem więcej Wyczółkowskiego. 27 grudnia — w samą rocznicę Powstania Wielkopolskiego — dwa lata po moim pobycie w Gościeradzu — spadła z radiowego głośnika wieść o jego śmierci w Warszawie. Przybiła mnie ona, bom wciąż jeszcze nosił w sobie nadzieję spotkania mistrza w Gościeradzu, którym nie przestał władać.

Nie napisałem już więcej wiersza ani o nim, ani o jego dziełach, ani na ich kanwie. Wojna odebrała mi też akwarę, otrzymaną w darze podczas wizyty w jego domu, w podziękę za wiersze. Dziś zadawałam się opublikowanymi albumami i tekami Wyczółkowskiego, oraz własnymi wierszami, zamieszczonymi w moim debiutanckim tomiku *Krzyż na rozdrożu*.